

Oko prawdę powie?

15 listopada 2014

Steven Spielberg w słynnym „Raporcie mniejszości” („Minority report”) z 2002 r. prezentuje świat drugiej połowy XXI wieku, w którym do okrzyknięcia kogoś mordercą bądź morderczynią nie trzeba samej zbrodni: wystarczy zamiar jej popełnienia. Ten element wykreowanej rzeczywistości został przez widzów dobrze zapamiętany: działania mające na celu zapobieganie przestępczości, w tym terroryzmowi, przy uciekaniu się do metod, których skuteczność budzi poważną wątpliwość – jak choćby automatyczne wychwytywanie nietypowego (sic!) zachowania – ironicznie kwituje się nieraz wyrażeniem „jak z „Raportu mniejszości””.

Wystarczy tu przywołać na przykład projekt INDECT, współrealizowany przez krakowską Akademię Górniczo-Hutniczą, który w minionych latach wzbudzał niemało kontrowersji. Twórcy projektu pracowali nad stworzeniem systemu, dzięki któremu m.in. możliwe byłoby automatyczne wykrywanie zagrożeń na podstawie zachowań odbiegających od normy. W filmie Stevena Spielberga prócz unieszkodliwiania zbrodniarzy in spe można znaleźć również inne elementy, przy których warto się na moment zatrzymać. Jednym z nich jest biometria – wykorzystywana nie tylko do celów administracyjno-nadzorczych, ale i stricte handlowych.

Komisarz John Anderton z Agencji Prewencji, powołanej do wyszukiwania i powstrzymywania niedoszłych złoczyńców, w jednej z wizji jasnowidzów ze zdumieniem rozpoznaje własną twarz. Co z tego, że nie zna mężczyzny, którego za kilkadziesiąt godzin ma zabić – będzie mordercą, system nie może się mylić. Dla jego kolegów to oczywiste; ucieczka stanowi zatem jedyne wyjście. Jednak niełatwo uciekać, kiedy na każdym kroku natknąć się można na skanery tęczówki, choćby te wykorzystywane w reklamach. Odpowiedni mechanizm skanuje, a głos dobiegający z billboardów imiennie (i głośno) zaprasza

przechodniów na zakupy. „Johnie Andertonie, chyba czas na guinnessa!” – kusi reklama alkoholu w najmniej sprzyjającym momencie. Po wejściu do sklepu odzieżowego uśmiechnięta kobieta-hologram wita się z klientami: „Witamy w Gapie, panie Yakamoto. Jak się panu nosi nasze koszulki?”, „Pani Belfor, wróciła pani po drugą parę butów?”. Stacjonarny sklep dysponuje technologią, która nie tylko umożliwia natychmiastowe rozpoznanie klienta, ale też pamięta jego historię zakupów, dzięki czemu – w domyśle – placówka jest w stanie podsunąć kupującemu rzeczy, które prawdopodobnie wzbudzą ich zainteresowanie.

Przedstawiony mechanizm przypomina nieco robienie zakupów w Internecie. Korzystając ze współczesnych sklepów internetowych, nie sposób zachować anonimowości. Na potrzeby zrealizowania zlecenia musimy przedstawić nasze dane osobowe. Ponadto naszą sieciową historię, w tym e-zakupy, a także ślady, które zostawiamy w Internecie mimowolnie, zapamiętują rozmaite strony. Informacje te zostają później wykorzystywane do stworzenia określonego profilu: jako internauci w określonym wieku, o danej płci, interesujący się konkretnymi usługami i towarami będziemy otrzymywać dobrane pod tym kątem reklamy, a także odpowiednio wyselekcjonowane odnośniki z wyszukiwarki – być może kosztem czegoś, co w danym momencie zaciekałoby nas znacznie bardziej. W Polsce masowe biometryczne profilowanie offline dla celów handlowych – na wzór tego, które pojawia się w „Raporcie mniejszości” – przez jakiś czas chyba jeszcze nam nie grozi, choć pod czujnym okiem kamer obecnych w urzędach, bankach, obiektach sportowych i centrach handlowych niełatwo delektować się anonimowością.

Anderton ucieka, a żeby mu się to udało, musi dokonać w swoim ciele poważnych zmian. Wbrew pozorom to nie możliwość rozpoznania jego twarzy przez postronnych stanowi największy problem. Owszem, mężczyzna zaaplikuje sobie specyfik zwiotczający mięśnie, kiedy będzie się spodziewał konfrontacji z ludźmi, którzy go dobrze znają, dzięki czemu jego rysy

bardzo się zmienia – jednak to nie spojrzenie żywego człowieka jest tutaj najbardziej niebezpieczne. Tym, co trzeba oszukać przede wszystkim, jest technologia. Stosunkowo prosty zabieg wymiany tęczówek nie wystarczy. „Skanery wykryją blizny, włączy się alarm i pojawią się gliny” – tłumaczy ekspolicjantowi działający w podziemiu chirurg-okulista na moment przed przeszczepieniem mu cudzych gałek ocznych. John będzie jeszcze potrzebował własnych oczu. Przydadzą mu się jako przepustka. Wszechobecne skanery to przecież tylko maszyny zaprogramowane w określony sposób – dla tych filmowych nie ma najmniejszego znaczenia, czy do tęczówki ludzkiego oka przyrośnięta jest reszta człowieka.

W „Raporcie mniejszości” szanowany obywatel z dnia na dzień staje się przestępcą. Odtąd wszystkie jego działania nakierowane są na to, aby udowodnić swoją niewinność. Wypchnięty poza obszar tego, co legalne, Anderton pragnie powrócić. W „Gattace” (1997 r.) w reż. Andrew Piccola sytuacja wygląda inaczej. Główny bohater, Vincent Freeman, dopiero próbuje przedostać się do kręgu lepszych, do którego z racji urodzenia nie należy. Mężczyzna jest bowiem jedną z osób, które zostały poczęte bez modyfikacji genetycznych, w sposób naturalny – ze wszystkimi tego konsekwencjami, typu słaby wzrok czy tendencje do choroby serca. W jego świecie wykształciły się kasty: on sam należy do tej, przed którą kariera astronauty zostaje zamknięta. Aby osiągnąć wymarzony cel, musi udawać kogoś innego. Co ciekawe, podobnie jak Anderton, to nie na samej twarzy – tym podstawowym elemencie ludzkiej tożsamości – się skupia. „Nikt dziś nie patrzy na zdjęcia. Mógłbyś mieć nawet moją twarz” – mówi Jerome, w którego Vincent zaczyna się wcielać. Rządzący światem niedalekiej przyszłości „lepsi” ślepo ufają testom i związanej z nimi technologii. W swoim zadufaniu przyjęli za pewnik ułomność inteligencji „gorszych”, dzięki czemu Vincent ma przewagę już na starcie mistyfikacji.

W „Gattace” funkcję identyfikującą przy wejściu do pracy

pełnią codzienne badania krwi pobieranej z palca (okazjonalnie z żyły). Dodatkowo analizowany jest mocz, również na obecność używek. Aby przejść przez sito takiej kontroli, Vincent nakleja na własne opuszki naskórkopodobną powłokę z kilkoma kroplami krwi Jerome'a. Nie tylko przełożeni i służby mundurowe analizują to, kim naprawdę jest dany człowiek. Wystarczy rzęsa, włos, obcięty paznokieć („Codziennie szorowałem skórę, przycinałem paznokcie i włosy, aby w świecie pełnowartościowych zostawiać jak najmniej siebie” – mówi Vincent), żeby od ręki sprawdzić sekwencję DNA właściciela w jednym ze specjalizujących się w tym punktów usługowych. Z tej możliwości powszechnie korzystają ludzie zainteresowani genetycznymi walorami potencjalnego partnera. Wręczenie tego rodzaju kawałka siebie osobie, na której komuś zależy, jest nawet pewnego rodzaju elementem romantycznego *savoir-vivre'u*.

Cielesność stanowi dla człowieka sferę fundamentalną. Ujmowanie tożsamości – ukształtowanej przede wszystkim na niej – w karby technologii niezwykle silnie przemawia do wyobraźni. W fantastycznonaukowych wizjach przyszłości biometryczne metody identyfikacji przedstawiane są zwykle jako element świata przedstawionego niebudzący entuzjazmu, a także – mimo pozornej doskonałości – ułomny. Prezentowane sposoby kontroli nie są stuprocentowo skuteczne: do ograniczenia ich roli wystarczy inteligencja, twórcze myślenie i silna determinacja. To, co intryguje w fikcji, na skutek rozwoju technologii coraz częściej pojawia się w naszym życiu całkiem serio (paszporty z odciskiem palca, automatyczne oznaczanie twarzy w portalach społecznościowych, czytniki linii papilarnych używane do kontroli czasu pracy przez pracodawców) i rodzi szereg zagrożeń dla prywatności. Wadą tego systemu – poważniejszą od skutków działań świadomie omijających go osób – wydaje się jednak wiara nadzorujących w nieomyłność zastosowanej technologii oraz przekonanie, że będzie ona stanowić gwarancję bezpieczeństwa bądź porządku, gdyż jest „najnowsza”, wyrafinowana... i droga.

Autor: Urszula Dobrzańska

Źródło: [Fundacja Panoptikon](#)